

Pomysł dla Palikota

13 października 2010

Instytut Badania Opinii Homo Homini twierdzi, że kongres ruchu Palikota był sukcesem.

Ma o tym świadczyć wzrost notowań tego świeżo powstałego ugrupowania. Oddać się Palikotowi swoimi głosami chce już podobno 5,1% wyborców. Palikot wchodzi do Sejmu!

Ale czy nie byłoby warto, żeby jego klub powiększył liczbę posłów? Sprzyjać temu mógłby sequel kongresu. Polegałby on na niespodziance, którą zgotowano by „twarzom” tego ugrupowania. Wyobraźmy sobie, że na wiec sympatyków Palikota przybywają poseł Kutz oraz inni propalikotowscy intelektualiści. Odklepują swoje: Palikot jest heroicznym donkiszotem, który walczy z konserwatywną hegemonią na polskiej scenie politycznej. Są z nim Cervantes, Gramsci, Mouffe, Laclau, a może nawet Arystoteles.

Mądre głowy zamiast oklasków czeka jednak zimny prysznic. Ich gadanina zostaje skwitowana tymi samymi technikami „żartu i drwiny”, którymi mniej znani fani Palikota walczyli ostatnio na Krakowskim Przedmieściu o świeckie państwo. Oblewa się ich piwem, popycha, szturcha i oczywiście rzuca w nich mięsem. Którąś mądrą głowę częstuje się kopniakiem w pierś. Żart to pewnie brutalny, ale skuteczny. Od jego zastosowania zszedł przedwcześnie z tego świata jeden z „tak zwanych” obrońców krzyża.

Przyznajmy z ręką na sercu: twórcy kultury zasłużyli na taki zimny prysznic. W debatach historycznych czasem jeszcze odzywa się czkawka po – przezwanej tak kiedyś przez Jacka Trznadla – „hańbie domowej”. Dlaczego intelektualiści popierali totalitaryzm? A dlaczego mieliby tego nie robić, jeśli dzisiejsi mędrkowie wychwalają Palikota?

Analogie pomiędzy Palikotem oraz idolami wątpliwych bohaterów

epoki hańby domowej byłyby nie na miejscu. Inaczej niż Jagoda czy Berman, Palikot to ani zbrodniarz na skalę masową, ani gracz polityczny jakiegokolwiek formatu. O tyle jedynie przypomina tamtych, że jest uosobieniem mechanizmów systemowych. Trafnie zauważył Wat, że do istoty stalinizmu należała dialektyczna jedność resortów bezpieczeństwa i kultury. Jeden i drugi służyły bowiem kontroli nad zbiorowymi przekonaniem i zachowaniami. Obecny ustrój dodał tu trzeci składnik, którym jest oczywiście pieniądz. Zdegradował nadto jednostkę. Palikot niczym nie kieruje, a tylko odgrywa rolę figuranta. Wykorzystuje go – powiedzmy tak, unikając zużytych terminów w rodzaju „układu” czy „ośmiornicy” – sieć, której zawdzięcza on pozycję biznesową, mandat poselski i aktualne nagłośnienie w mediach.

Nasi mędrkowie całują czubki u butów poliszynela, którym zza kulis steruje jakiś macher z pogranicza ustawionych przetargów, śledztw dziennikarskich będących w istocie zaplanowanymi prowokacjami propagandowymi oraz gier politycznych, w których efekcie tonęły unie i sojusze, żeby mogła wystartować Platforma? Niestety, tak właśnie jest. Jaki zresztą mędrkowie mają wybór? Szef Palikota, wspomniany „Ołży-Śmierć,” faktycznie okazał się nieśmiertelny, ponieważ w swojej karierze zaliczył już przypuszczalnie ekipę Kiszczaka, kancelarię Wałęsy, tygodnik „Wprost” i niejawne zaplecze AWS, jakieś efemerydy w rodzaju Ruchu Stulecia czy Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego oraz naturalnie PO. Przesiadywał też na fotelach rad nadzorczych niejednego polsko-amerykańskiego (a teraz – w zgodzie z duchem nowych czasów – polsko-ukraińskiego) funduszu przedsiębiorczości. Jest zbyt ważny, by tracić czas na odbieranie hołdów od mędrków. Spotykając się z nimi, jak wiele innych zadań reprezentacyjnych, zostawia swojemu pajacowi, któremu pozwala się nazywać politykiem, posłem i liderem ruchu.

Dlaczego jednak mądre głowy dały się jakiemuś dziwnemu wiatrowi popchnąć w stronę, gdzie za sfingowanym Palikotem

urzęduje weteran „Ołży-Śmierć”? Nikt – rzecz jasna – nie wymaga od nich minimum przenikliwości i uczciwości. Trudno więc oczekiwać od nich zauważenia, że autorytarna dyktatura w starym stylu, powołująca się na ideologię prawicową, antykomunistyczną, konserwatywną i katolicką, z wielu względów nigdy nie była w III RP poważnym zagrożeniem. Choć mędrkowie wiedzą skądinąd, że nikomu z ich kumotrów, którzy za czasów PRL – jak Doktor z „Dziadów” – trochę „nad powinność czynili”, smarując raporty i ekspertyzy dla tajnych zleceniodawców, nawet włosy z głowy nie spadł. Od dawna przecież dyskutują z nimi o paradygmacie modernizacji na panelach fundacji otwartego społeczeństwa. Mędrkowie orientują się także – a przynajmniej wyczuwają – że wielkimi krokami nadchodzi (i pewnie nawet jest już z nami) „ponowoczesny” quasi-totalitaryzm, który świetnie sobie radzi pod szyldem liberalizmu i na bazie wolnego rynku. Przeciwno niemu nie odważą się pisać, bo właśnie intensywnie się uczą, jak się w nim urządzić.

Mogliby jednak swoim prastarym zwyczajem kręcić się na orbicie partii rządzącej. Kto by im przeszkadzał wspierać liberalną frakcję Niesiołowskiego i podgryzać konserwatywny beton pod przewodem Gowina? Do rozważenia byłoby też – opłacalne od kilku lat – zgrywanie się na antysystemową, należącą do rewolucyjnej międzynarodówki Žižka, lewicową alternatywę dla prawicowej hegemonii. Ale Palikot ze swoimi żołądkówkami, winami owocowymi, lojalkami ze stanu wojennego i wreszcie – co dla mędrków szczególnie przykre – pochodzeniem nie z Konstancina, tylko Biłgoraja? Biorąc to ostatnie pod uwagę, można by się nań obrazić, do czego całkiem niezłą okazją byłyby jego kpiny ze zmarłych. Czy unikanie Palikota nie jest kwestią smaku?

Umiarkowany palikotyzm niczym w dodatku nie grozi. Palikot – przypomnijmy – to żaden Jagoda. Za niechęć do wpraszenia się na jego kongres nie ześle ani nie rozstrzela. Nawet nie spostrzegłby mandaryńskiego gestu otrzepania rękawów na jego

widok.

Niestety, smak zepsuty denaturatem nie rozpozna już taniej brandy w butelce z niechlujnie choćby przyklejoną etykietką koniaku Hennessy. Mądre głowy same się zniszczyły systematycznym upadlaniem. Najstarszy wśród błaznów z Palikotowskiego orszaku, Kazimierz Kutz, swój życiorys dworskiego reżysera rozpoczynał jeszcze w dekadzie gospodarskich rządów Edwarda Gierka. Jego ówczesne filmy bywały zresztą interesujące. Prawda, że swoim spóźnionym pamfletem na AK (pod tytułem – bodajże – „Znikąd donikąd”) przeraził on rozważną redakcję „Polityki”. Poczula się ona zmuszona wydelegować do rozprawienia się z Kutzem nieodżałowanego Zygmunta Kałużyńskiego. W kinie radzieckim – wskazywał, jak na niego wyjątkowo poważnie, Kałużyński – od dawna nie demaskuje się już sił niechętnych rewolucyjnemu ustrojowi tak płasko, jednostronnie i ahistorycznie.

Lepiej powiodło się Kutzowi z tematyką śląską. Na wiele lat został on uznanym specjalistą od dziejów tego regionu. Widz skłonny był przymykać oczy na okoliczność, że gdy powstawała górnicza trylogia Kutza („Perła w koronie”, „Sól ziemi czarnej” oraz „Grzeszny żywot Franciszka Buły”), po stolicy krążył dowcip kolejarski: „Wjedzie pociąg z Katowic. Odsunąć się od stanowisk”. Dzisiaj tym bardziej mało kto wypominałby Kutzowi jego zdolność do wpisywania się w koniunkturę. Mniejsza, z jakich pobudek Kutz przedstawił powstania plebejskie zamiast szlacheckich, co na pewno wzbogacało polską świadomość historyczną. Nie ominął też codzienności robotniczego życia w kapitalizmie, której obraz pozwalał uzmysłwić sobie, iż proletariatus nie był jedynie frazesem z oficjalnych akademii. A wszystko to zwieńczone uliczno-przedmiejskim humorem, który w dwudziestolecie międzywojennym potrafił jeszcze być barwny i wyzwajający.

Ciekawe, iż w III RP Kutzowi nie powiodło się już łączenie służby dworskiej z kręceniem twórczych filmów. Czyżby? Co złego jest w „Zakręconym” albo „Śmierci jak kromka chleba”?

Ktoś przecież musiał pokazać ludzi podziemia, którzy na zakazane demonstracje trafili z etapu wstępnego karier zawodowych na skromną PRL-owską miarę, a krwawego finału strajku w kopalni Wujek również nie dało się w polskim kinie ominąć. Problem w tym, że o ile „Perła...”, „Sól...” i „Grzeszny żywot...” potrafiły być poruszające i pikantne, to filmy Kutza o „Solidarności” – nudziły. Wynikało to chyba ze zmienionej atmosfery na szczytach władzy. Sekretarze z ekipy Gierka potrzebowali artystów, którzy przekonaliby masową publiczność o ich zakorzenieniu w polskiej przeszłości. Co innego liderzy kolejnych Unii – Demokratycznej i Wolności. Oni i tak byli pewni, że historia, świat oraz racjonalnie myśląca część społeczeństwa są za nimi. – „Co teraz kręcisz, Kazik?” – pytali Kutza na balach. – „Coś o Wujku? O podziemnych strukturach? No tak, fajnie tłukło się te gazetki, ale teraz mamy nową rzeczywistość”. Ledwie rozpoczętą dyskusję przerywał „Ołży-Śmierć”, który podchodził pogadać o kursach walut i obiecujących transakcjach.

Mitu „Solidarności” używano wyłącznie w charakterze dekoracji, która słabo przesłaniała światek pokątnych biznesów. Głębszego wejrzenia w historię, z której ten mit wyrastał, mało kto sobie życzył. Odsłonięcie, jacy ludzie wypadali z czołówki ruchu na jego kolejnych zakrętach, jacy natomiast do niej awansowali – i na czym polegały związane z tym zmiany w strategii i programie – okazałoby się wybitnie niezręczne. Po zmianie ustroju, wydawałoby się, Kutz mógł kręcić, co i o czym chciał. Tymczasem właśnie wtedy umarł jako artysta.

Teraz Kutz pracuje pewnie nad remake’ami swoich filmów solidarnościowych. Przecież faszyzm, który o mało nas nie udusił po roku 2005, musiał zostać poczęty już w podziemiu. Czy konspiracyjnych spotkań, na które chodził „zakręcony”, nie nawiedzali przypadkiem prawnicy z Żoliborza? I nie przerażali roztropnych ludzi pracy swoją obsesją wieszania? Do Wujka dzwoni warszawski ekspert „Solidarności”, mówiący charakterystycznym głosem znanych później bliźniaków. –

„Potrzebuję trupów” – syczy nienawistnie – „pamiętajcie: jak najwięcej trupów”. Tymczasem ze słuchawki na miejscowej komendzie milicji odzywa się równie niepowtarzalny timbre generała Jaruzelskiego: „Nie wolno wam przelać ani kropli polskiej krwi!”. Po Jaruzelskim zabiera głos Kiszczak: „Towarzyszu pułkowniku, rozumiecie chyba, że stan wojenny to taka ściema. Potrzebujemy czasu na ustawienie okrągłego stołu do rozmów z konstruktywną częścią opozycji. Jak słusznie zauważył towarzysz Wojciech: lepiej wszyscy zgiąć niż skrzywdzić ludzi pracy”. Montażysta dokonuje gwałtownego skoku. W Berlinie Wschodnim bardzo zdolny oficer radzieckich jeszcze służb specjalnych duma nad mapą Polski. – „Jeżeli ta ekstremalna swołocz (kaki ich zowut?... Kurczakowscy?)” – mówi do siebie z namysłem – „podważy odpowiedzialny kurs polityczny Tadeusza i Bronisława, to reformy demokratyczne, nad którymi od dawna pracujemy z Michaiłem Siergiejewiczem i Borysem Nikołajewiczem, odsuną się na dziesięciolecia”.

Z osób, które zabłądziły do przedpokoju Palikota, można jeszcze żałować Eustachego Ryłskiego. W końcówce PRL, kiedy już mało kto spodziewał się czegokolwiek ciekawego po oficjalnym pierwszym obiegu, on błysnął w PIW-ie opowiadaniem o rosyjskiej wojnie domowej. Słabo ukrywając sympatię dla oficerów białej Armii Ochotniczej, nie pozostawiał złudzeń: rozgromienie ich przez bolszewików było nieuchronne. Kiedy ich świat przestał istnieć, służbisty oficer armii carskiej, Stankiewicz, oraz wykolejony ziemianin nieprawego pochodzenia, Maksymilian Rogoyski, z rozpaczy zaczęli zabijać. Najpierw celowali do czerwonych, potem już do wszystkich. Co najgorsze, nic im to nie przyniosło.

Ryłskiemu udało się jeszcze opowiadanie z historii sekretnej Polski Ludowej, zatytułowane „Tylko chłód”. Wysoki funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa ma żal do międzywojennych elit inteligenckich o pogromy na uczelniach; podczas jednego z nich został skatowany jego brat. Tropi on także plany fizycznej likwidacji polskich komunistów, o czym myśleli

podobno niektórzy oficerowie AK. Tym jego pasjom poznawczym znakomicie odpowiada były AK-owiec, który przed wrześniem 1939 r. sympatyzował z prawicą. W latach wojny natomiast projektował radykalną akcję antykomunistyczną, której przestraszyła się komenda główna podziemnych sił zbrojnych. Zwierzchnicy w ogóle nie ufali zresztą swemu zbyt gorliwemu podkomendnemu. – „Skąd ta nieufność?” – dopytuje się ciekawy oficer na przesłuchaniach.

Przez wiele dni bada on duszę interesującego go AK-owca. Aresztował go pod pretekstem wymuszenia informacji o wybitnym działaczu PPS, który starał się mu służyć za duchowego ojca. W rzeczywistości jednak przedwojennym socjalistą, od dawna znajdującym się na politycznej emeryturze, fascynuje się tyle, co zeszłorocznym śniegiem. Ważny jest tylko jego wychowanek z sekretem swojej osobowości.

Tę psychoanalityczną zabawę kończy przełom roku 1956. Po wyjściu na wolność, kombatant AK już wie, kto naprawdę jest stwórcą i sędzią ludzkich życiorysów. Misji tej nie pełni z pewnością „Bóg ojców naszych”, w którego wierzyli konfederaci barscy. Nie wyręcza go w niej, jednakże, duch postępu, wolności i równości, któremu ufali ludzie PPS. Wyciągnawszy wnioski z tych odkryć, bohater Rylskiego wstępuje do odnawiającego się kadrowo resortu spraw wewnętrznych. A jego przesłuchujący? Po dwunastu latach wygłasza opozycyjny wykład, że partia marksistowska jest całkiem niezłym wynalazkiem historii powszechnej, ale nie wolno jej degenerować się w dogmatyczny kościół. Akcję jego śledzenia i ukarania koordynuje były więzień, którego w swoim czasie zadręczał wnikliwymi pytaniami.

Rylski, jeśli chciał, to mógł i umiał. Pewnie trochę za bardzo inspirował się obiegowymi plotkami o historii. Niepotrzebnie też pisał tak, jakby po Turgieniewie i Czechowie w literaturze już nic się nie zdarzyło. Ten ostatni błąd mu zaszkodził. Rylski debiutował w latach, gdy Felliniego wypierały z ekranów seriale o niewolnicach i krokodylach. Krytyka artystyczna

pospiesznie padała na kolana przed swoją nową boginią: popkulturą. Gratulowała więc Ryłskiemu, że – w przeciwieństwie do swoich wyżej cenionych kolegów – pisze dla czytelnika, a nie tylko dla garstki nadętych znawców. Na swoje nieszczęście autor „Stankiewicza” usłuchał życzliwych doradców. Od czasu do czasu pisze opowiadania, do których entuzjastom jego debiutu, mającym jako taki gust, coraz mniej chce się zaglądać. Przede wszystkim jednak mówi – w tabloidach i o Palikocie. Ani Stankiewicz, ani Rogoyski tak głupio nie skończyli, mimo że historia traktowała ich surowiej.

Ryłski przynajmniej był kiedyś średnim pisarzem. Manueli Gretkowskiej pochwalić za to samo już nie sposób. Jeśli zaczynało się z najniższego pułapu, na który tamten musiał mozolnie się staczać, to co zostało? Za wszelką cenę przypominać o sobie. Jeśli nie w założonej przez siebie Partii Kobiet, to chociaż na występach gościnnych.

W Palikotowym buduarze nie zabrakło naturalnie filozofii. Mimo swego pretensjonalnego żargonu, nie ma ona innego sensu niż politykierski. I tego komplementu za dużo. Chodzi w niej bowiem tylko o rozgrywki koteryjne, których uprawianiem zajmują się dwojakiego rodzaju odrzuty ze startowego etapu „Gazety Wyborczej”: liberalno-lewicowe i (kiedyś) prawicowe.

W poprzednim dziesięcioleciu, marginalny odłam kibiców tego organu miał za złe jego redaktorowi naczelnemu, że zbyt nisko kłania się Kościołowi. – „Panie Adamie!” – jęczano w niszowych tytułach typu „Bez dogmatu” – „larum grają, Glemp nie akceptuje reguł demokracji, Rydzyk chce tępić mniejszości, JPII zakazuje aborcji, a ty na koń nie siadasz? Szabli nie chwytasz? Obudź się! Komunizm obaliłeś, Kreml zdobyłeś, więc Watykan – to dla ciebie pestka!”.

Michnik, jak często, miał taktyczną rację. Ignorując błagania Barbary Stanosz i Magdaleny Środy, nie udowadniał już kilkanaście lat temu, że Boga nie ma, zaś koroną praw człowieka i obywatela jest skrobanka. Cierpliwie czekał na

inwazję komercyjnej telewizji i radiofonii. Wiedział, że chwilowo Kościół może dostać tyle zapisów o wartościach chrześcijańskich i zwrocie majątku, ile sobie zażyczy. Dowolnie dużo godzin religii w szkołach nie uchroni go przed tańcem gwiazd i jazgotem prezenterów, które ogłaszają przełom cywilizacyjny. Urynkowane stosunki społeczne nie potrzebują już wartości religijnych i moralnych nawet dla ozdoby.

Kościółowi należy dać sygnał, że układ sił się zmienił. W ślad za tą ostrzegawczą informacją podąża ultimatum. Hierarchia kościelna będzie na pokaz respektowana i zachowa większość dotychczas uzyskanych przywilejów finansowych, o ile poprze obecny układ rządzący. Natomiast za flirt z opozycją czeka ją kara. – „Patrzcie, co was czeka...” – pomrukuje „Gazeta Wyborcza” do biskupów. – „Oprócz życzliwego wam Jana Turnaua mamy także Środę – i to w każdą środę. Jeśli nie będziecie grzeczni, zmienimy proporcje na łamach tak, iż jeszcze gorzej na tym wyjdziecie”.

Donald Tusk trzyma Kościół w tej samej pułapce, którą Michnik wypróbował na planie medialnym. Kościół przyjął kuszącą ofertę, zapominając, że Chrystus na pustyni odrzucił coś bardzo podobnego. – „Oddajcie mi pokłon” – wołał demon szokowych reform gospodarczych – „a przede wszystkim posłużcie mi za parasol. Wtedy odwdziczę się wam... no, może nie od razu wszystkimi królestwami ziemi, ale budynków i hektarów dostaniecie całkiem sporo”.

Parasol trzymany nad transformacją wyblakł. Z autorytetu i formatu kardynała Wyszyńskiego nie przetrwało prawie nic oprócz pomnika. Coś pewnie było na rzeczy w opinii Giedroyc’a, że powojenna nacjonalizacja i reforma rolna, uderzając Kościół po kieszeni, w dalszej perspektywie przyniosą mu wzrost sympatii i szacunku. Po upadku PRL, Kościół z nawiązką odzyskał straty materialne. Lecz jego pozycja moralna tak ucierpiała, że drapać biskupów po kostkach ośmiela się pierwszy lepszy Palikot.

Im Episkopat jest słabszy, tym łatwiej ulega szantażowi Tuska: „Jeśli nie podoba wam się Platforma, na której wciąż mamy miejsce dla Jarka Gowina, to poszczujemy was Palikotem. Nie musicie zresztą aż tak głośno nas chwalić, bo ludzie chętniej słuchają TVN-u. Wystarczy, że nie będziecie pomagać PiS-owi”.

Mądre głowy, plujące jadem antyreligijnym jak czarownice z Loudun, o nic ważnego nie walczą. Są zaledwie pionkami w przejrzyściej planie wyżej opisanej manipulacji. Może się zdarzyć, że polski Kościół zostanie stopniowo zlikwidowany przy użyciu znanej techniki salami. Amputując sobie, pod naciskami Platformy, skrzydło konserwatywno-narodowe, osłabnie jeszcze bardziej. A wtedy ruch Palikota – lub jakiegoś nowego figuranta – zostanie napuszczony na kościelne centrum. Wtedy bowiem cały polski katolicyzm zamieni się w skrajność, która przeszkadza w modernizacji. Równie prawdopodobne jest zresztą przewlekanie się aktualnie obowiązującego, mętnego kompromisu. Zgodnie z nim, arcybiskupowi Nyczowi na razie nie grozi skopanie za chodzenie w sutannie – pod warunkiem, że w niedzielным kazaniu przykładowie skopie on ekstremistów, którzy dzielą naród.

Wybór między tymi wariantami w najmniejszym stopniu zależy od mędrków. Ich społeczne znaczenie jest tyle samo (czyli nic) warte, co ideały, które głoszą. Ostatnio zakochali się w państwie świeckim. Walczyć o takie państwo, jednakże, miało sens wówczas, gdy służyło ono wyzwoleniu dużych grup społecznych od ucisku, który Kościół współtworzył. A teraz? Hasło świeckiego państwa brzeczy ponurą pustką. Nie potrzeba daleko szukać przykładu. Na Krakowskim Przedmieściu nie ma już krzyża. I co tam jest do obejrzenia? Tandetne na ogół instalacje i sztampowo urządzone wnętrza lokali konsumpcyjnych. Znosi się zresztą, że knajpy, w których nie ma zbyt wielu chętnych do bawienia się za spore ceny, zostaną wyparte przez banki, gotowe zapłacić znacznie więcej za czynsz.

Jednego nie da się mędrkom odmówić: są niezawodnym

drogowskazem. Ilekroć powiedzą: „czarne”, bez wahania, z zamkniętymi oczami wołajmy: „nieprawda, białe!”. Kilkanaście lat temu należało ostrzegać przed wkraczaniem Kościoła w rolę zarazem strażnika transformacji i jej beneficjenta. Krytyka tego typu była potrzebna społecznie, a i Kościół na dłuższą metę by z niej wyciągnął korzyści. Wówczas jednak hierarchów katolickich traktowano jak święte krowy nawet w głównym nurcie „Gazety Wyborczej”. A co mówić o prawicowych odrzutach ze stajni Michnika? Oni byli zajęci wysysaniem sobie z palca życiorysów antykomunistycznych bojowników spod (nomen omen) krzyża. Zrozpaczeni, że Michnik oddaje szpalty nie im, tylko Kołakowskiemu, zionęli frustracją w swoich „bruLionach” i „Czasach kultury”: „Co tam Kołakowski ze swoimi dywagacjami o potrzebie mitu? Nam mit się objawił, bo byliśmy w kościele i widzieliśmy, jak stare kobiety śpiewają godzinki”.

Teraz oklaskują tłuczenie kropka w kropkę takich samych kobiet. A nawet – ludzi niewierzących, których z modłącymi się połączyły zbliżone wspomnienia historyczne, obawy i troski. Taka już ich natura, że wskazują prawdę na odwrót. Po roku 1989, Kościół pogłębiał zakłamanie i korupcję. Wyczuwając w nim podobnie zepsute klimaty, co w swoich grupkach, uważali go za swego. Minęły lata. Przy istotnej pomocy Kościoła dokonała się transformacja ustrojowa. Azyłu przed barbarzyństwem, będącym jej wytworem, dostarcza nawet taki katolicyzm, którego instytucjonalnymi przywódcami są postacie rangi Kowalczyka i Nycza. Tego, oczywiście, mędrkowie nie mogą ścierpieć. W ich, chyba jedynym szczerym, przekonaniu, nie powinno istnieć miejsce, gdzie człowiek mógłby uciec od barbarzyńców. Jak pewien bohater Brechta, wołają z wielkim samozadowoleniem: „przecież ja wcale nie chcę być człowiekiem!”. Motłoch jest fajniejszy.

W przeszłości intelektualisci wyrządzali szkody swojej reputacji, utożsamiając się bezkrytycznie z narodem czy proletariatem (a raczej samozwańczymi rzecznikami tych historycznych potęg). Rzadko jednak kompromitowali się jawną

solidarnością z motłochem. Nawet Hanns Johst, który trafił w końcu do korpusu oficerskiego SS, oraz Louis-Ferdinand Céline, któremu zdarzały się ostre popisy antysemickie, przyłączali się do motłochu głównie w celu artystycznej prowokacji. Tymczasem na śródmiejskich ulicach nietrudno spotkać outsiderów, którzy nie ukrywają, że byli u Palikota, bo dostali tam piwo i koszulkę. Czym ich przewyższają Kutz czy Środa? Najwyżej tym, że trochę więcej im zapłacono.

Dlaczego motłoch tak nienawidzi „czarnych”? Od chciwości blisko do zazdrości. Okładki wszystkich tygodników zostały przez niewidzialną reżyserską rękę ozdobione rewelacjami o zyskach, które Kościół naprawdę czy rzekomo wyciągnął z Komisji Majątkowej. – „Oni mają więcej pieniędzy niż my!” – syczy motłoch, dręcząc się zawiścią, że jego wróg jest bogatszy. A mędrek czuje tak samo.

Najbardziej zdemoralizowany Kościół, mimo wszystko, wysyła sygnały, że zbiorowość ludzka nie może opierać się wyłącznie na kłuciu się łokciami i deptaniu. Tego motłoch już nie daruje. Za kalekie choćby ujawnianie tej prawdy – a nie za grzechy, które popełnia – prześladowe biciem i wyciem wskazanych mu jego wyznawców.

Mędrek i pod tym względem zdradza się jako bliźniak motłochu. Od dawna przestał się on troszczyć o elementarną konsekwencję swojej dyskursywnej gadaniny. Latami plótł w każdym zdaniu o micie i sacrum. Aż tu nagle zaczął nawoływać do wyzwalania polskiej kultury. Od czego? Od mitologicznych – i oczywiście sakralnych – rytuałów żałoby. Tymczasem jakiś moher śmie przypominać do obłędu załganemu mędrkowi, że istnieje wiara, której założyciel mówił o sobie: „ja jestem prawda”. I w dodatku za tę bzdurę (?) poszedł na krzyż. Opłuć za to mohera!

Chcąc nie chcąc, mądra głowa służy za świadectwo prawdzie, którą gardzi. Poświadcza, że panujący ustrój wolności degraduje ludzi jak mało który ewidentnie antywolnościowy totalizm. Kutza i Rylskiego strącił na szczebel Gretkowskiej,

Środy i Bielik-Robson. Ale i tego było mu za mało. Wszystkie te mądre głowy, razem wzięte, cisnął pod obcas Palikota.

Mędrek plecie trzy po trzy o sacrum i Oświeceniu, ale na użytek praktyczny swoje wie. Wyśmiewa moherów wierzących w zamach z 10 kwietnia, ale zdaje sobie sprawę, iż po tej dacie pojęcie walki o władzę zaczęło znaczyć coś bardziej ponurego niż przedtem. Do zorientowania się w tym dość jego profesjonalnej działki. Partyjny funkcjonariusz Dworak (sic!) w radzie do spraw mediów, którą odebranie jej PiS-owi miało odpolitycznić? Tak, to mocna rzecz.

Ileż to razy mędrkowi dawano pismo, zalecając mu lansowanie rewolucji moralnej i pokolenia JPII? Instrukcja się zmieniała. Według jej nowej wersji, mędrek odkrywał erozję autorytetu JPII i budował barykadę pod hasłem: wszystkie ręce do walki, żeby zatrzymać liderów nie czego innego, jak rewolucji moralnej. Choć wiernie służył, wywalano go w końcu na bruk. Jak przetrwać? Mędrek wynotowuje z opluwanej przez niego latami gazety Michnika i Kurskiego „wiarygodną” informację, że Kaczyński zwariował. Uzupełnia ją strzępami erudycji na poziomie gimnazjalnego kółka polonistycznego: Nietzsche też zwariował. Nietzsche i „kaczorek” – boki zrywać! Nie chce się wam śmiać? To przyjdzie ktoś od Janusza i każe rechotać. Tak toczy się teraz krytyczna debata o polskiej polityce.

Jerzy Urban, kiedyś niezły felietonista, słusznie zarzucił przed wieloma laty wolnemu słowu, że bełkocze ze strachu. A jeśli ze strachem połączy się wytrenowane samoponížanie? – „Nie wolno mi mieć godności” – powtarza mędrek najmniej tyle razy dziennie, ile muzułmanin modli się z twarzą odwróconą do Mekki. – „Nie daj, oświeceniowy Allachu” – powtarza – „żeby mnie wykopali na aut, bo wtedy nikt po mnie nie zapłaci”.

Co się stanie, jeśli Palikot poobija swoje „twarze”? W takim wypadku, dziennik „Polska. The Times” opublikuje zatroskany komentarz redakcyjny. Palikot – oceni się tam miarodajnie – jest oryginalnym politykiem i kiedyś zostanie mężem stanu, ale

czasami przesadza. Mądre głowy to przeczytają, obgadają przy kawie i zaczną konać ze strachu. – „Janusza przez nas skrytykowali! A jak się obrazi? Gotowy przejechać się po liście płac!”. W jednym z następnych wydań „Polski” ukaże się protestacyjny list otwarty mądrych głów. – „Po pierwsze, Janusz w ogóle nas nie skrzywdził. A po drugie, gdyby nawet, to jemu wolno, bo jest niekonwencjonalnym człowiekiem karnawału”.

Mędrkowie pędzą ze swoją petycją do TVN24. – „Janusz, karnawał, cool, hip hip hurra” – wydobywają z siebie przez pokrwawione wargi, wybite zęby i połamane kręgi szyjne. Nagle do studia wkracza Palikot. – „Lanie, które dostaliście na »sequelu« do kongresu” – ostrzega ponuro – „to tylko przystawka”. Wyciąga pejcz z luksusowego sex-shopu dla wyalienowanych mniejszości. I przypomina sobie, że „Ołży-Śmierć”, zanim go rzucił na odcinek biznesowy, kazał mu pokręcić się na wydziałach filozoficznych. Erudycyjnie nawiązuje więc do Nietzschego. Idziesz do mędrków? Nie zapomnij bicza.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)